Rok 1901. Lwów, 23. Czerwca Nr. 24.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 23. czerwca Nr 24.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 24:

Idea polska rośnie w prześladowaniu.

(*S.*) Przypuszczenie, a chociażby pomysł sam o samodzielnem odrodzeniu i pojawieniu się na scenie dziejowej narodu polskiego, stało się zmorą, nie tylko trapiącą we dnie i w nocy wszystkich przeciwników naszych, od najwyższych dostojników począwszy, aż do ostatniego ciury hakatystycznego, ale zarazem owym najwygodniejszym argumentem, mającym osłonić przed potępieniem opinii powszechnej i usprawiedliwić wszelakie rozporządzenia i środki, chociażby najtwardsze i najsroższe, odbiegające najdalej od zasad etyki, prawa, sprawiedliwości i możnaby nawet powiedzieć najprostszej uczciwości.

Dziwne to zaiste zjawisko, ale licujące poniekąd z całym tokiem polityki nowoczesnej, ideałem której gwałt i przemoc, miażdżenie słabych i uciśnionych, bałwochwalstwo siły i chwilowego powodzenia, a w stosunkach międzynarodowych spółzawodnictwo zdobycia panowania nad światem, za pomocą nieustającego śród najbardziej rzekomo ustalonego pokoju, zbrojenia się w nieskończoność, mnożenia siły zbrojnej na lądzie i na morzu z niemałą dla rozwoju ekonomicznego szkodą.

Nie ulega wątpieniu, że pierwszym objawem tego zwrotu w polityce międzynarodowej, na wskroś przeciwnego zasadom ludzkości i chrześciaństwa, był rozbiór Polski, akt gwałtu oczywistego, śród głębokiego pokoju na rzeczypospolitej dokonanego. Zbytecznem jest dociekanie, czy arcypolityczny pomysł począł się w głowie króla pruskiego Fryderyka, Wielkim i filozofem zwanego, czy carycy Katarzyny, głównych tego dramatu dziejowego aktorach.

To pewna, że ze wstrętem i łzami przystępowała do niego trzecia jego spólniczka, Marya Teresa, cesarzowa austryacka, której opór złamały długo powtarzane zachody pierwszego jej doradcy, ministra i kanclerza hr. Kaunitza, którego znowu względy dyplomatyczne, a poszczególnie zazdrość, by dwa inne mocarstwa, dla których sam najmniejszej nie żywił przychylności, łatwego łupu same nie zagarnęły, popchnęły do przystąpienia do umowy zaborczej. To pewna, że jej przepowiednia, że akt ten niesprawiedliwy: „wiele łez i krwi przelania sprowadzi w następstwie“, spełniła się w całej pełni.

Politycy i dziejopisarze uczciwych zasad, Niemców nie wyjmując, zgodni byli w potępieniu aktu, nikczemne i kłamliwe uzasadnienie którego nie było zdolne usprawiedliwić międzynarodowego rozboju. Wielki akt pokojowy, traktat wiedeński, zamykający erę przewrotów politycznych i wojen, wstrząsających całą Europą, o mało się nie rozbił skutkiem trudności, jakie nasuwało sprawiedliwe rozwiązanie kwestyi polskiej, a formuła, jakiej się chwycono, zdaje się głównie z podniety dyplomatów angielskich, dla zażegnania grożącego niebezpieczeństwa nowej zawieruchy wojennej i pod przerażającem wrażeniem wracającego z Elby w tryumfalnym pochodzie Napoleona, zatwierdziła wprawdzie w odmiennem rozgraniczeniu dawniejszy rozbiór Polski, warując przecież bardzo wyraźnie istnienie narodu i zastrzegając dla wszystkich zaborów odpowiednie zarządzenia państwowe.

Jakie zastosowanie znalazły i znajdują po dziś dzień zastrzeżenia międzynarodowego aktu, znaną jest rzeczą, a przecież nie są i nie mogą one być niczem innem, jak stwierdzeniem niezaprzeczalnego faktu dziejowego, że rozgraniczenie państwowe, spowodowane rozbiorami dawnej rzeczypospolitej polskiej, pozostawiło i pozostawić musiało nietkniętą jedność plemienną i językową narodu samego.

Błędnem zgoła i nielogicznem jest mniemanie, tak często powtarzające się czy to w rozprawach publicystycznych i parlamentarnych, czy w uzasadnianiu rozporządzeń, ukracających prawa narodowe Polaków, jakoby zachowanie zastrzeżeń narodowych zawisłem być miało i mogło od samowoli rządów państw zaborczych i usposobienia Polaków samych względem tych rządów. Faktu dziejowego; że jesteśmy Polakami, żaden rozkaz monarszy, ani żaden traktat odmienić nie jest zdolnym, dopóty, dopóki się sami nimi czujemy. Zastrzeżenia traktatowe też niczem innem nie są, jak sprawdzeniem i stwierdzeniem tego faktu, pozostającego niewzruszonym, mimo rozdziału państwowego, dokonanego na ludności polskiej przez rozbiory i ostatecznie przez traktat wiedeński. Toć przecież i inne narodowości istnieją i rozwijają się, mimo państwowego rozdzielenia, a niema prawie państwa w Europie i na ziemi, do którego składu nie wchodzi w większej lub mniejszej liczbie ludność różnoplemienna.

Czy naród polski, jako samoistny organizm polityczny, wystąpi znowu kiedykolwiek na scenie dziejowej, kiedy to nastąpi i w jakim kształcie? to kwestya historyczna i polityczna, rozwiązanie której pokrywa tymczasem zasłona przyszłości. Że ona się przejawia nietylko w aspiracyach Polaków samych, że się nią zajmują umysły myślicieli historycznych i politycznych, tego dziesiątki przytoczyć można przykładów. Wszakże reprezentacya narodu niemieckiego przed laty pięćdziesięciu odbudowanie Polski stawiała jako postulat polityczny, potępiający rozbiory Polski, jako zbrodnię polityczną, którego naprawa miała być jednem z naczelnych zadań zdobywającego samorząd narodu niemieckiego. Wszakże przed niewielu jeszcze laty jeden z najpoważniejszych dzienników niemieckich, konserwatywna ***Kreuz Zeitung*** w szeregu artykułów domagała się wręcz restauracyi Polski niezawisłej, sięgającej aż do morza Czarnego, ażeby z niej utworzyć przedmurze dla Niemiec przed zaporem rosyjskim. Warowała ona wprawdzie nietykalność ziem pruskiemu panowaniu podległych, ale za to chciała widzieć przyłączonemi do nowoutworzonej Polski wszystkie ziemie małoruskie, aż po Dniepr i morze Czarne. A prawie na pewno przypuścić można, że gdyby w bliskim albo dalszym czasie przyszło do zatargu wojennego pomiędzy Prusami - Niemcami i

Rosyą, niechybnie pojawiłyby się odezwy, podobne do onych, które czasu wojny pomiędzy Prusami i Austryą wydawał książę pruski Fryderyk Karol do „szlachetnego narodu węgierskiego“, powołując tenże do chwycenia za broń, przeciw ciemięstwu austryackiemu.

Śmieszną prawie, a co gorsza, zdrożną jest na tak dalekich i skomplikowanych kombinacyach politycznych opierać rozporządzenia administracyjne, lub prawodawcze przeciw obywatelom spokojnym, pełniącym obowiązki państwowe bez jakiegokolwiek oporu czynnego. Nad duszą i sumieniem ludzi nie ma pana na świecie, tylko Bóg jeden na niebie. Wszakżeż monarcha tak despotycznego usposobienia, jakim był król pruski Fryderyk II, tej zasadzie dawał wyraz w swoim rodzaju, mówiąc: „Myślcie sobie co chcecie, ale czyńcie, coście powinni“ (denkt was ihr wollt, aber thut was ihr sollt).

Przewrotna myśl i zasada polityczna, ażeby myśli i pragnienia duszy brać w karby policyjne, administracyjne i prawodawcze, to wynalazek tego męża stanu pruskiego, który gwałt brutalny i przemoc silniejszego stawił na miejsce równomiernej dla wszystkich sprawiedliwości. Ale i tutaj, jak często na świecie, przewrotne zapędy przeciwny zamierzonemu wywołują skutek.

I nam ta pozostaje logiczna pociecha, że ideałów żadne prześladowanie i żadna nie przemoże siła brutalna.

Stanisław Bobelak.

Musica proibita.

(Pieśń zakazana).

(Ciąg dalszy).

Dnia następnego widzimy ich znów, zdążających wczesnym rankiem ku wzgórzu Vela Straza. Gdy wydostali się na szczyt, oczom ich przedstawił się jeden z najpiękniejszych krajobrazów morskich i górskich zarazem, krajobraz tak uroczy, że od niego ta część wyspy otrzymała nazwę „Zatoki słońca“ (*val di sol*).

Od północy wierzchołki drzew oliwnych poruszał wietrzyk, wiejący od „bocca falsa“, której błękit widniał w dali. Po za nią brzegi wysepki Colludarz, na której krańcu wznosił się dumnie szczyt góry Ossero. W dali na lądzie stałym śnieżne szczyty łańcucha gór Velebit, a na wschodzie tuż u podnóża pagórka spokojna przystań, w głębi której miasto Lussin rozłożyło się ze swemi białemi domami. Na południe i zachód, jak daleko okiem sięgnąć, modre i spokojne fale Adryatyku, pośród których wznoszą się liczne wyspy, wysepki i skały..

Pogodne słońce oblało blaskiem te fale, te wyspy, te śnieżne wzgórza, te białe mury, pieszcząc się z kwitnącemi fiołkami, cyklamenami, narcyzami, eryką i kwiatem drzew migdałowych.

W małym lasku, od strony Cigale, świerki poruszały przy podmuchu wiatru swe kiście, a wietrzyk przynosił z oddechem morza woń żywicy i kwiatów, zapach dzikich ziół, rozmarynu i mirtu. Tu i ówdzie rysowały się kształty roślin egzotycznych, różnorodne palmy, agawy, aloesy i rododendrony. Urok tej przecudnej, budzącej się wiosny podnosił jeszcze czysty i donośny odgłos dzwonu kościelnego.

Głos dzwonu małej kaplicy, położonej obok latarni morskiej w Cigale, noszącej piękne miano Madonny Annunziaty, rozlegał się w tej atmosferze opromienionej, wonnej i ciepłej, drżącem echem. Oznajmiał on, że ten piękny poranek był porankiem Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi, zdawało się, że ta przecudna przyroda głosi przez morza i góry zbliżający się tryumf i zbawienie świata...

Zarówno Matylda, jak i Bolesław zostali dziwnie smętni, natchnieni tym czarującym widokiem. Wreszcie on, zerwawszy kilka rosnących w pobliżu fiołków, wręczył je Matyldzie i prosząc ją, by usiadła na ławeczce, zajął miejsce naprzeciw niej na obrosłym bluszczem odłamie muru i odezwał się:

— A teraz zechciej pani wysłuchać zdarzenia, jakie rozegrało się na tej wysepce. — I zaczął opowiadać.

„Przed dwudziestu laty służył w austryackiej marynarce pewien marynarz, który przeszedł dziwne koleje w swem życiu. Pochodząc z wyspy Sansego, którą pani widzi przed sobą, utracił w dziecięcym jeszcze wieku rodziców, a wychowaniem jego zajęli się dalecy krewni. Ukończywszy szkołę nautyczną w Lussin piccolo, wstąpił do służby marynarskiej na okręt jednego z tamtejszych właścicieli okrętów, z którego po kilku latach przeniósł się w charakterze pierwszego sternika na okręt amerykański „Stella“, będący własnością bogatego kupca z Nowego Orleanu, którego względy zjednał sobie wkrótce w zupełności.

Kupiec ten posiadał uroczą jedynaczkę Dolores, do której zapałał Ivo gorącą miłością. Powróciwszy razu pewnego z podróży, której wynik był nader korzystnym dla don Fernanda, zwierzył mu się ze swych uczuć i został nadspodziewanie dobrze przyjęty. Wprawdzie don Fernando ostateczną decyzyę pozostawił swej córce, lecz ta, wychowana w klasztorze (matkę utraciła w dziecięcym wieku) i będąc dzieckiem prawie, liczyła bowiem niespełna lat 16, widząc w związku tym wolę ojca, nie śmiała przeciw niej wystąpić. To też wkrótce potem odbył się ich ślub, po którym udali się w podróż na pokładzie „Stelli“, którą Dolores otrzymała w wianie. W trzy miesiące później znajdowali się w Neapolu. Ivo, będąc tak blisko ojczyzny swojej, nie mógł się oprzeć żądzy ujrzenia jej — może ostatni raz — w życiu. To też w dwa tygodnie potem znalazła się „Stella“ obok tej wysepki, którą pani stąd widzisz. Ogólna radość, jaka zapanowała pomiędzy krewnymi i znajomymi z powodu powrotu Iva, nie trwała długo. Ivo, podróżując po świecie, zapomniał bowiem zupełnie o istnieniu w Austryi powinności wojskowej i o karze, jaką ściągają na siebie uchylający się od niej. Skorzystał z tego jeden z nikczemnych jego rówieśników i Ivo został aresztowany, a następnie wyrokiem sądu wojennego skazany na odsłużenie sześciu lat przy marynarce wojennej, do której go niezwłocznie wcielono. — Okręt pod dowództwem sternika powrócił do Ameryki, a biedna Dolores, dla której nastały ciężkie czasy, chcąc oczekiwać powrotu męża z podróży, w którą miał niebawem na pokładzie korwety „Zrinyi“ wyruszyć, zamieszkała w Pola.

Pomiędzy młodszymi oficerami korwety znajdował się jeden — mniejsza o nazwisko — który litował się szczerze nad losem nieszczęśliwego Iva i o ile to było w jego mocy, starał się ułatwić mu ciężką służbę okrętową. Ivo na tydzień przed wyjazdem zaprosił go do siebie, gdzie Dolores ujrzała po raz pierwszy tego, o którym mąż opowiadał jej tyle dobrego. Od tego czasu widywali się niemal codziennie, a wieczór przed wyjazdem spędzili razem. Kiedy nareszcie zbliżała się chwila, w której musieli wrócić na okręt, a biedna Dolores zalewała się łzami, oficer ów, nie chcąc być świadkiem ich boleści, wyszedł na ulicę, gdzie zastanawiał się nad tem, ażali można nazwać prawem to, co bez żadnej dla kogoś korzyści unieszczęśliwia dwie istoty...

Pożegnanie małżonków trwało długo.. Czyżby przeczuwali, że się żegnają na zawsze?... Lecz nie uprzedzajmy wypadków. Wczesnym rankiem dnia następnego w palmową niedzielę korweta wyruszyła w drogę, a z wybrzeża, jak długo dojrzeć można było, powiewała biała chusteczka. To biedna Dolores żegnała męża...

W miejscu tem Bolesław zamilkł, a spojrzawszy na Matyldę, dostrzegł łzy w jej czarownie pięknych oczach..

— Po ośmiu miesiącach — ciągnął dalej Bolesław — korweta powróciła do Pola, niestety bez Iva, który zginął podczas burzy, a młodemu oficerowi przypadło w udziale zakomunikować tę straszną wieść nieszczęśliwej Dolores. Zaledwie wylądował, spotkał się na wybrzeżu z nią oko w oko, a po za nią piastunkę z maleńkiem dzieckiem na ręku. Czyje ono było domyślił się łatwo...

Dolores, przywitawszy go serdecznie, rzekła:

— Przedstawiam panu mego synka, Diega. Lecz gdzie jest Ivo?

A zanim on jeszcze mógł coś odpowiedzieć, ona, jak gdyby przeczuwając coś złego, dodała zmienionym głosem.

— Błagam pana, powiedz mi prawdę, co oznacza wiadomość, podana tydzień temu w dziennikach, donosząca o przybyciu korwety „Zrinyi“ do Palermo i o śmierci jednego z załogi. Czy to może Iwo? Błagam cię i zaklinam na Boga, powiedz mi prawdę!

A gdy młody oficer ze wzruszenia nie był w stanie wydobyć ze siebie jednego słowa, dzika rozpacz ją ogarnęła i zawoławszy głosem strasznym:

— Pan milczysz... A więc to prawda... runęła na ziemię...

W tej chwili głośne łkanie przerwało opowiadanie Bolesława, który, spojrzawszy na Matyldę, rzekł:

— Pani płacze? A więc zaniecham dalszego opowiadania.

— O, proszę bardzo, mów pan dalej, ja się w tej chwili uspokoję. To mówiąc, otarła łzy, które jednakże natychmiast ponownie cisnęły się jej do ócz...

— Lecz uprzedzam panią, że to dopiero początek nieszczęść biednej Dolores.

A gdy ona nie odpowiadała, on ciągnął dalej:

„Sześć tygodni walczyła ze śmiercią, aż wreszcie silna jej natura zwyciężyła. Kiedy po słabości pokazała się znajomym, ci jej nie poznali. Trupia bladość pokryła jej piękne oblicze, z pomiędzy czarnych, jak heban, warkoczy wyglądały tu i ówdzie srebrne włosy, a oczy straciły swój blask dawny. W kilka dni później przyjechał, zawiadomiony o wszystkiem, ojciec, który na widok swej najdroższej jedynaczki rozpłakał się, jak dziecko.

- Taka młoda, zaledwie siedmnaście lat licząca, a już po stracie męża.. już wdowa... — narzekał stary Hiszpan.

Kiedy nareszcie stan jej zdrowia się polepszył, zgodziła się na propozycyę ojca, aby powrócić do Nowego Orleanu i poczęła czynić przygotowania do podróży.

Lecz niezbadane są wyroki boskie... Na kilka dni przed wyjazdem mały Diego zachorował na dyfteryę i pomimo wszelkich starań i wysiłku lekarzy, pożegnał się z tym światem, a niewinna jego duszyczka uniosła się do stóp Najwyższego tronu, by tam poznać ojca, którego nie znał za życia...

— A cóż się stało z biedną Dolores? zapytała ze łzami w oczach Matylda.

— Podczas słabości dziecka — mówił dalej Bolesław — zalewała się łzami i nie odstępowała go na chwilę, po śmieroi zaś nastąpiła dziwna w niej zmiana. Nie wydała ani jednego okrzyku boleści, nie uroniła ani jednej łzy, a tylko co raz to więcej pokrywająca się siwizną głowa oraz ciągłe, zamyślenie, wskazywały na straszny ból i cierpienia, jakie szarpały jej serce...

Po pogrzebie dziecka oświadczyła ojcu, że nie powróci go Ameryki.

— Tu ojczyzna moja — odpowiadała na namowy — gdyż tu straciłam wszystko, co najdroższego... męża i syna...

Ojciec jej, widząc, że wszelkie prośby i namowy są daremne, zdał prowadzenie interesów swych w Ameryce na jednego z krewnych, a sam zamieszkał przy Dolores, mając nadzieję, że zmieni z czasem swe przekonanie i powróci do ojczyzny.

Biedna Dolores uczęszczała codziennie do kościoła i na grób swego dziecka, przyozdabiając go w kwiaty, między któremi nie brakło nigdy cyklamenów. W smutnych tych przechadzkach towarzyszył jej prawie zawsze znajomy oficer, który zauważywszy jej zamiłowanie do cyklamenów, zapytał ją pewnego razu, co znaczy to jej upodobanie do tego kwiecia.

W odpowiedzi na to pytanie Dolores wyjęła zawieszony na szyji medalion, a otworzywszy go, pokazała pytającemu jego zawartość — kilka zaschłych cyklamenów. Następnie spojrzawszy na niego, dodała:

— To pierwszy podarunek Iva...

Młody oficer westchnął głęboko i od tej chwili zdawało mu się, że odczuwa boleść nieszczęśliwej Dolores...

Od czasu tego widywali się niemal codziennie, chodzili razem na grób małego Diega, czuli, że się kochają... a przecież nie mówili nigdy o tem... nie zdradzali swych uczuć żadnem słowem... On, prócz innych względów, czcząc ją i obóstwiając, szanował jej boleść, której nie miał odwagi przerwać, ona zaś obawiała się, by ten, którego pokochała nad życie, nie pogardził nią, gdyby mu pierwsza swą miłość wyznała...

I mijał dzień po dniu, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem — upłynął wreszcie rok cały, a nic się między nimi nie zmieniło... Kochali się nawzajem tą miłością gorącą, miłością czystą, która jest wolną od wszystkich popędów i namiętności ludzkich, pałali ku sobie tą miłością prawdziwą, tak rzadką w dzisiejszych czasach... i milczeli...

Aż wreszcie on, nie mogąc znieść tego dłużej, a równocześnie z obawy, by wyjawiając jej swą miłość, nie był posądzonym o chęci materyalne — był bowiem ubogi, podczas gdy ona miała odziedziczyć po ojcu milionową fortunę — skorzystał z nadającej się sposobności i zaciągnął się na okręt, który miał niebawem wyruszyć w dłuższą podróż.



W GÓRACH.
Obraz Alfreda de Bréanski'ego.

I znów nadeszła palmowa niedziela, a z nią chwila pożegnania... Biedna Dolores, żegnając się z tym, którego tak ukochała, odezwała się:

— Wracaj pan zdrów i rychło, a gdybyś nie zastał mię z powrotem, nie zapomnij złożyć na mym grobie raz w roku to, coś mi nieraz przynosił... bukiecika cyklamenów. O! nie przerywaj mi pan — mówiła dalej — dla mnie palmowa niedziela jest dniem nieszczęśliwym — w dniu tym, przed dwoma laty, żegnałam Iwa, którego nie ujrzałam więcej, dziś żegnam pana i mam przeczucie, że się już nie zobaczymy... Bywaj pan zdrów i szczęśliw, a wspomnij czasem o mnie...

A on, nie będąc w stanie ze wzruszenia przemówić jednego słowa, przycisnął jej rękę do bijącego serca, a złożywszy na niej gorący pocałunek, raz jeszcze spojrzał na nią... poczem, chcąc ukryć cisnące mu się do ócz łzy, odwrócił się i odszedł...

I tak się rozstali na zawsze...

. . . .

Pisywali do siebie, lecz rzadko — aż wreszcie on w jednym liście wyjawił jej swą miłość — lecz miesiące upływały, a on nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. Łatwo pojąć, co się w nim działo......

Z powrotem do ojczyzny w jednym z portów, w którym się zatrzymali, zastał wreszcie list, który czekał na niego już przeszło trzy miesiące.

W liście tym donosił mu don Fernando o śmierci Dolores, która nastąpiła w dniu 13. czerwca, wraz że stosownie do wyrażonego życzenia pochowano ją na wysepce Sansego, dokąd przewieziono też zwłoki jej dziecka. Do listu tego dołączony był drugi od Dolores, pisany na tydzień przed śmiercią, a zawierający odpowiedź na jego ostatni.

— „List twój — pisała Dolores — potwierdził tylko to, co od dawna przeczu-

wałam. Wiedz o tem, że i moje serce od pierwszego naszego spotkania należało do ciebie, że cię pokochałam całą duszą — sercem całem.

Ja, która w życiu tem nie zaznała nic prócz boleści, tylekrotnie życzyłam sobie śmierci — a dziś, kiedy ona wycią ku mnie swe skostniałe ręce, ja, kochając ciebie i pozyskawszy twą miłość, chciałabym żyć z tobą i dla ciebie... O, jak strasznie jest umierać w tak młodym wieku, zdala od ciebie, najdroższy!... O, dlaczego nie jest mi dozwolone choć raz jeden spojrzeć w twe oczy... choć raz jeden spocząć w twych ramionach... wymienić z tobą choć jeden uścisk miłosny... Lecz daremne są me żądania, gdyż czuję zbliżającą się śmierć, a Tyś, Najdroższy, daleko... Żegnam Cię więc po raz ostatni, bądź zdrów i szczęśliw, tak jak ja byłam nieszczęśliwą na tej ziemi, a jeżeli kiedy losy zapędzą Cię w pobliże mego grobu — zmów na nim modlitwę i złóż kilka cyklamenów. Prosiłam ojca, by mię pochowano na rodzinnej wysepce mego dobrego męża, gdyż leżąc w Pola, gdzie ty często przybywasz, przysparzałabym Ci tyle smutku... Żegnam Cię i do widzenia w lepszej przyszłości...“ (Dokończenie nastąpi).

Anna Neumanowa.

Ada Negri i jej poezye.

W pośród licznych, wytworzonych sztucznie i rozbudzonych kulturą talentów, które zasypują nas dzisiaj mniej, lub więcej udatnemi, a często cieplarnianemi utworami, pojawiają się i odzywają, od czasu do czasu, szczere nuty natchnienia, dzieła fantazyi twórczej, echa wrażeń i nastrojów silnych, przelanych w pieśń, od której dźwięku drżą dusze i kołacą serca.

Tak; — poezya to pieśń, to pierwsza potęga piękna, jaką odczuła dusza ludzka; z duszy natury, z jej życia i drgnienia, przechodzi ona w pieśń ludzką, przelewa się w nią jak fala wezbrana. Ta pieśń gra w naturze, pogwizdem wichrów, szumem borów, jękiem ginącego zwierza, całą tą pramuzyką głosów i rytmów, które ucho człowieka chwyta, które falą uderzają o jego myśl zbudzoną i do wtóru ją nastrajają. Pierwsze więc źródło natchnienia uderzyło z wrażeń zewnętrznych: pierwszy dźwięk pieśni, pierwszy nastrój zbudziła natura i jej nieśmiertelne piękno. Ale oto w duszy ludzkiej wrażenia nawiązują się jakoby struny złote, a struny te nawiązują się z czasem tak subtelne, że nie szum nawalnicy, ani jęk wichru; nie szelest skrzydeł ptasich, ani pacież rozkołysanych borów, ale lada drgnienie słabe, własnego lub cudzego serca, już dźwięk z nich dobywa. Powstaje zatem drugi zdrój natchnienia, z którego również pieśń płynie, pieśń niemniej dźwięczna, niemniej silna i niemniej piękna, jak ta, którą człowiek podsłuchał i odczuł w głosach natury.

Najpoważniejsza struna, na której gra ta druga pieśń z ludzkiego serca dobyta, jest ból własny, a także ból milionów, który pieśń poety wchłania w siebie, by go przemienić na dźwięki rytmiczne, albo stopić na barwy i cienie.

Jednakże, aby ból ten stał się źródłem natchnienia, zabrzmiał pieśnią potężną, musi być szczerym, nie może być to ból sztucznie wywołany, w jaki stroją się niektórzy poeci niby w pożyczane żałobne szaty, podobni do tych Fakirów wschodnich, co sami pierś własną szkłem rozdzierają, lub pochodniami wypalają rany i niesmak budzą zamiast podziwu, lub współczucia.

Tylko ból szczerze odczuty, którym pierś rzeczywiście zadrgała, który wstrząsnął całą istotą poety, choćby przez chwilę tylko, ten ból może stworzyć pieśń potężną, może zbudzić echo w drugiem sercu.

O takim bólu mówił już stary Göthe, twierdząc, że: kto nigdy we łzach nie pożywał chleba, kto nigdy długich nie przepłakał nocy, ten nie zna was o jasne duchy nieba.

Takiemi samemi prawie słowy przemawia dziś do nas jedna z najmłodszych poetek włoskich Ada Negri.

Nie pieści się ona z własnem sercem, nie niesie swego bólu, jakby tarczy szklannej, w której się sama z tkliwością przeziera, ale walczy z nim raczej, przeciwstawia mu czary swej dwudziestoletniej wiosny. Odczuwa jednak całą duszą ból i cierpienie milionów; straszny jęk nędzy i głodu, który przebiega dziś Włochy, który dobywa się z wyschłych piersi, zgiętych przy pracy biednych robotnic i z zapadłych oczu opuszczonych dzieci, odzywa się przeciągłem echem w jej pieśniach.

Miłość ludu gorąca, namiętna, drga silnie niby metalowa struna w jej natchnieniach, jęczy skargą i zrywa się buntowniczą klątwą przy tych poezyach, w których treść etyczna góruje nad estetyczną formą.

W literaturze romańskiej podobnie, jak w naszej, uwydatniają się dzisiaj dwa główne kierunki, dwa różne prądy. Z jednej strony esteci, a na ich czele d'Annunzio szukają w sztuce i poezyi piękna jedynie, a więc barw, dźwięków i kształtów. Stoją oni wysoko po nad szarym tłumem, nie odczuwają jego bólów i wysileń, pragną tylko, aby poczucie piękna podniosło i uszlachetniło masy.

Talenty te są, jakby harfy, złotostrunne, które potrzebują jednak zewnętrznego dotknięcia, aby się dźwiękiem odezwać; — szukają one wrażeń i nastrojów zmysłowych, a śpiewają najcudniej, gdy dusza natury skrzydłami o nie uderzy.

Z drugiej znów strony grupują się te talenty twórcze, które, jak gdyby poważne organy kościelne, dźwięki kędyś z głębin ciemnych, ze skarbnicy ducha dobywają, a treść podniosła, głęboko obmyślana przybiera u nich jednocześnie barwy, dźwięki lub kształty, które jednak nastrajają się do treści. Jeśli są to istotnie talenty genialne, to estetyczne piękno formy, nie spaczy się, ani zmaleje, chociaż nić szara altruizmu przewijać się będzie przez złotą tkaninę słów natchnionych, ale wytworzą one przedziwną harmonię treści i formy, jak np. nasza Konopnicka, w której nuta altruizmu dźwięczy tak silnie, a tak dźwięcznie zarazem.

Do takich talentów należy również Ada Negri, poetka włoska, której poezye niedawno wydane, przebiegają dziś Włochy w kilkunastu tysiącach egzemplarzy.

Kim jest Ada Negri? — Urodzona w nędzy, jest ona dzieckiem ludu; matka jej, jak nam opowiada poetka, w izbie czeladniej ciężko na chleb pracować musiała. Oto, co mówi poetka o sobie:

Jam z czarnej ziemi soki życia piła,
A wskróś przez słońca tryumfy przez hymny
Bujnej natury
O pierś mą trąca, niby powiew zimny,
Jęk nędzy, ciężki, ponury!
. . . .
A na me serce, niby deszcz szkarłatny,
Ulewą straszną, krew nieszczęsnych pada.

W istocie serce poetki tak przesiąkło tym bólem, tą krwią spracowanego ludu, że nie zna prawie innej podniety natchnienia. Nie miała też Ada Negri sposobności szukania innych wrażeń i nastrojów.

Do niedawna, bo jeszcze w ubiegłym roku była ona nauczycielką w małem miasteczku w górnych Włoszech Motto-Visconti.

Nie znała miast większych, nie patrzyła nigdy na arcydzieła sztuki, na piękne widoki, nie była nad morzem lub w górach, nie znała nawet teatru, co we Włoszech jest prawie nie do pojęcia.

Oto, jak opisują w biografii poetki otoczenie, w jakiem przebywa:

Przez zaniedbane podwórze, zalane błotem, w którem nurzają się gęsi i kaczki, dochodzimy do odartych, chwiejących się drzwiczek izby. Światło wpada tam nieco przyćmione, bo okna zalepione są papierami, a najbogatszym sprzętem w tej izbie jest paka z książkami, która służy poetce za kanapę i za stół do pracy.

Na tej pace pisze ona swe poezye.

Nic też dziwnego, że w tem otoczeniu powstały wiersze, często łez szczerych pełne.

„Jam kwiatem dzikich cierni“ — mówi ona o sobie. Mimo to Ada Negri nie jest pesymistką; ona walczy z niedolą, a jej smutek nie jest bólem, rodzącym niemoc i ubezwładniającym ducha, ale jest to ból twórczy, budzący potęgę życia i pracy; ból zgrubiałych rąk i zdyszałych piersi, ból, co się rodzi w podziemnych kuźnicach i więziennych pieczarach, ale wybiega daleko po za ich zgniliznę i skargą pieśni uderza o błękitny strop nieba.

Pierwszy tomik poezyi Ady Negri nosi tytuł: Przeznaczenie, „Fatalista“, a tenże sam tytuł ma wiersz na pierwszej stronicy umieszczony, będący jakoby przewodnim akordem, motywem głównym jej natchnienia, a raczej wyznaniem wiary poetki.

Podaję wiersz ten nie w rymach, aby nie osłabić obrazowania:

Oto tej nocy nad mojem wezgłowiem
Stanęła mara ponura i blada;
Z ogniem w źrenicy, sztyletem u boku,
Śmiechem twarz szczerząc. — Lęk zdjął [mnie złowrogi,
Gdy rzekła: „jam jest niedola.

I nigdy więcej, o, dziecię trwożliwe,
Nie rzucę ciebie w twojem życiu bladem
Przez osty, kwiaty, do śmierci i w nicość,
Jakby cień wierny, twoim pójdę śladem.“
A jam załkała: „Ach! odejdź!“

A ona, bliżej przystępując do mnie,
Rzekła: „Tam w górze pisano:
Tyś bladym kwiatem, tak! tyś kwiat cyprysu,
Kwiat śniegu, grobu i grzechu;
Tam — kędyś w górze pisano.“

Jam krzyk podniosła: „Precz! ja chcę na- [dziei,
Co w latach błyszczy dwudziestu,
I chcę miłości rozkosznego drżenia,
Chcę pocałunku świata i geniuszu...
Precz, precz odemnie, nieszczęsna!“

Lecz ona rzecze: „Kto, krwawiąc pierś, [tworzy,
Temu jedynie żywo zalśni sława,
Wspaniałe loty ból użycza myśli
I daje temu, co walczy — zwycięstwo.“

Wtedy jam rzekła niedoli: „Pozostań!“

(Dokończenie nastąpi).

Kara życia.

Są czyny, które ogniem i mieczem tępić należy, są zbrodnie, przed któremi wzdryga się myśl ludzka, są przewinienia, narażające na szwank cały byt społeczeństwa. Obowiązkiem państwa jest zapobiegać ich spełnieniu, a zbrodniarzy ścigać wszelkiemi możliwemi środkami. Od niepamiętnych czasów, od chwili, gdy pierwsze zasady moralne obudziły się w człowieku, umiał on odczuć całą ohydę zbrodni i dla ukarania winnych i odstraszenia tych, którzyby nie wahali się pójść za ich przykładem, odbierał życie przestępcy.

Dotąd jeszcze kraje, stojące na bardzo wysokim szczeblu cywilizacyi, nie zniosły kary śmierci. W Anglii szubienica, we Francyi gilotyna nie straciły prawa do przelewu krwi ludzkiej. Pomijamy już Austryę i Niemcy, gdzie ciągle głośno o egzekucyach. Pomimo najpoważniejszych zarzutów, czynionych karze śmierci, pomimo głosów, dowodzących, że śmierć nie jest właściwie karą, że nie ma prawa odbierać życia ten, kto powrócić życia nie może, że zdarzały się wypadki skazywania niewinnych, prawodawcy nie zmieniają krwawych ustaw i nakazują wykreślić z listy żyjących tego, kto przelał krew niewinną. Bo jakże uwolnić społeczeństwo od niebezpiecznego członka? Zesłanie do miejsc dalekich a odludnych, okazało się w praktyce nie odpowiadające potrzebie i, jak wiadomo, Rosya, uprawiająca najszerzej system deportacyjny, zniosła go częściowo w roku ubiegłym.

Nowy kodeks włoski, będący w znacznej mierze dziełem Zanardellego, obecnego prezesa ministrów, wprowadza po raz pierwszy do rzędu kar taki czynnik, który zastępuje karę śmierci, połączoną nawet z najokropniejszemi torturami.

Czynnikiem tym jest ergastolo. Ten, kogo uznano za winnego spełnienia jednej z najstraszniejszych zbrodni, wymienionych w kodeksie, skazany bywa na „ergastolo“. W małej celi, odcięty od reszty świata, który nigdy go nie ujrzy i którego on już nigdy nie zobaczy, gdzie niema nic, oprócz ścian nagich i tych niewielu sprzętów, bez których nawet dziki mieszkaniec Afryki obejść się nie może, zbrodniarz spędza resztę dni swoich. Ani twarzy ludzkiej, ani ludzkiego widoku... Codziennie o pewnej godzinie, przyrząd mechaniczny podsuwa mu bochenek chleba i dzban wody. Ta jedyna spójnia ze światem zewnętrznym daje skazanemu miarę dni spędzonych. Maleńkie okienko u samej góry, rzuca wąski promień światła, który pozwala odróżnić, czy poza murami celi dzień jaśnieje, czy noc cienie rozpościera; zresztą cisza grobowa i wieczne milczenie. Żadnego zajęcia, żadnych wrażeń, słowem dół cmentarny za życia...

Wolno mu mieć jednakże nadzieję — nie wyzwolenia, o tem śnić mu chyba wolno, lecz nadzieję ujrzenia kawałka ziemi i skrawka nieba. Gdy bowiem wyrok ogłaszano, oznajmił mu prezydujący sądu, że stracił już prawo nazywać się ojcem, że syn wyprzeć się go może, a żona poczytać go może za umarłego i wyjść za innego, lecz że jeżeli w ciągu lat dziesięciu samotnego zamknięcia ani razu nie targnie się na życie własne, wolno mu będzie, o radości! ujrzeć takich jak sam skazańców i przez parę godzin dziennie pracować z nimi na dziedzińcu więziennym. Nie wolno mu jednak i wtedy słowa przemówić, a postąpienie wbrew zakazowi pozbawia go bezpowrotnie prawa pracy i wtrąca na całą wieczność do okropnej celi...

Czy możliwe jest jednak, ażeby znalazł się człowiek, zdolny przez długich lat dziesięć wyżyć przy takich warunkach i zmysłów nie stracić? Do tej pory praktyka na pytanie to odpowiedzi nie dała.

Lecz cel osiągnięto. „Ergastolo“ odłączyło przestępcę od społeczeństwa i zamiast kary śmierci wprowadziło stokroć straszniejszą karę życia. Słusznie jeden z redaktorów kodeksu włoskiego oświadczył, że ma ono na celu uczynić życie męczarnią a śmierć wyzwoleniem.

El.

Ósmego dnia stworzenia...

Ósmego dnia stworzenia — pieśń zgasła powiada
I klechdy w starożytnym spisane sanskrycia —
Ósmego dnia do słońca szła tworów gromada,
Błagając blask ożywczy o broń na to życie.
Słońce przygrzało silniej... Pan dobył z skarbnicy
Różne siły i rozdał mieszkańcom przyrody...
Więc orłom lot chyżością równy błyskawicy,
Lwom siłę, rybom głębin niedostępne wody;
Więc głazom dał martwotę, kwiatom woń trującą,
Gadom żądła zaszczepił napojone jadem,
Kameleonom łuskę w sto barw się mieniącą,
Na wianku róż zawiesił ostrych kolców djadem.
Dał ziarnu moc rodzenia, psu węch nieomylny,
Chytrość lisom, jaskółce niebosiężne kręgi;
Słowikom pieśń darował, dębom korzeń silny
I wpisał każdy datek do wieczystej księgi.
Pierwsza para człowiecza przybyła spóźniona,
Gdy już krzak gorejący gasł w świętej iskierce..
Pan spojrzał, litościwe wyciągnął ramiona
I dał broń najstraszniejszą, dał rozum i serce.
Skłonili się pokornie i odeszli z datkiem,
Lecz djabeł u wrót raju czatował niecnota;
Chcąc darowany oręż przytępić, ukradkiem
Rzucił pod stopy ludzkie garść szczerego złota!



ŹRÓDŁO. Obraz K. Rożyńskiego.

Ferdynad Saar.

DOKTOR TROJAN.

(Przeł. z niem. Józefa P.)

(Ciąg dalszy).

II.

Prawie ośm lat minęło, zanim po raz drugi przyjechałem do R...

Lecz jak zdziwiony byłem, gdy, opuściwszy dworzec, zbliżałem się do włości. Nie była prawie do poznania tak w tym czasie wzrosła i upiększyła się. Zaraz przy wjeździe zobaczyłem planty z ławkami polakierowanemi na biało w cieniu dużych akacyi. A na głównej ulicy, gdzie przedtem noga w błocie grzęzła, chodniki i prawie same nowe domy. Po większej części były domy wprawdzie parterowe, ale porządnie i w modnym smaku zbudowane. Także i nowe sklepy wpadły mi w oko.

Między nimi jeden bardzo okazały ze złotym napisem lekarza i apteki. A opodal, z drugiej strony sterczała na bramie ładnego domku tablica również z napisem w czeskim i niemieckim języku: Wszech nauk lekarskich doktor Szp. Ordynuje od 2—4 popołudniu. A jak teraz plac wyglądał! Regularny czworobok, otoczony ładnymi budynkami. Staw dla gęsi pozostał wprawdzie, ale miał teraz zgrabne sztachety z lanego żelaza i wodotrysk na środku. Naprzeciwko wznosił się okazały dwupiętrowy budynek z narożnymi balkonami; nad bramą stał napis: Radnice — Ratusz. Połowę parteru zajmował sklep z napisem: A. Brazda. Za dwoma dużemi oknami wystawowemi były ponętnie ułożone towary kolonialne, owoce południowe, delikatesy; dalej konfekcya męska i damska. Jednem słowem obszerny sklep z wielkomiejskim wyglądem; niepokaźny sklep pana Nerbady znikł wraz z domem w którym istniał z powierzchni. Postęp! Wszędzie postęp! Tak pomyślałem, wjeżdżając w bramę zamku. Tam się nic nie zmieniło, tylko dzieci hrabiego znacznie urosły. Wskutek tego przybyły dwie guwernantki i guwerner. Ten zamieszkiwał moje dawniejsze pomieszkanie, a mnie umieszczono w budynku, który przedtem zajmował doktor Wanke. Ten bowiem poszedł na pensyę i przeniósł się ze swoją rodziną do stolicy. Połowę obszernego domu oddano Huleszowi, który po zostając uporczywie starym kawalerem, miał klucznicę. Był więc moim najbliższym sąsiadem i będąc u niego z pierwszą wizytą, zapytałem o Trojana. W ciągu lat zacierało się wspomnienie o nim czem raz bardziej, wreszcie zupełnie o nim zapomniałem. Dopiero, gdy wjeżdżając, zobaczyłem szyld lekarza, przypomniałem sobie jego...

— Pan się pytasz o Trojana — odpowiedział Hulesz.

— Ten biedak smutnie skończył. Lecz czy go Pan znałeś?

— Owszem. Miałem z nim razu pewnego nawet dłuższą rozmowę, w której się w dziwnem świetle przedstawił.

Był też w rzeczy samej niepospolity; lecz też niejako predystynowany do losu, jaki go spotkał. Ponieważ zdaje mi się, że to Pana zajmuje, więc opowiem Panu, jak się rzecz miała.

* * *

Jako lekarz, sam muszę przyznać, że był on do naszego zawodu nadzwyczaj uzdolniony. Lecz jego wykształcenie było niedostateczne; bo się na prawdę nic nie nauczył, a chirurgicznych wiadomości nie miał żadnych. Pod tym względem miał idyozynkrazyę: nie mógł patrzeć na krew, a nawet unikał widoku sekcyjnego noża.

To uchodziło, gdyż w danych wypadkach byłem i ja. Lecz jak wszyscy uważał on swe braki za zalety. Wychodząc z założenia, że nie wolno natury uprzedzać, uważał wszelkie operacye w regule za zbędne, ba, nawet szkodliwe i leczył niektóre na zewnątrz występujące choroby środkami niedostatecznemi — i to tak długo, że często niebezpieczeństwo było najgroźniejsze, gdy nareszcie mnie zaważał. Wskutek tego uważałem za swój obowiązek przedstawiać mu kilkakrotnie a wreszcie z naciskiem jak wielką odpowiedzialność bierze na siebie, i że takie przekroczenie może dla niego samego pociągnąć najgorsze skutki. Zrobiło go to jednak jeszcze uporniejszym, rozgoryczyło go i uważał mię teraz skrycie za swego wroga. Jak niesłusznie, tego Panu mówić nie potrzebuję. Owszem, ceniłem go, równie jak pan Wanke, który był przyjacielem jego ojca, dla jego zasług, jakie położył około dobra gminy, lecząc iście z zaparciem się i poświęceniem najbiedniejszych i opuszczonych chorych, którym już samem ukazaniem się przynosił pociechę, ulgę — a nierzadko i pomoc. W ciągu lat jednak powstało mu dwóch nieprzyjaciół, jeden mniejszy, a drugi wielki. Opowiem jak było.

Już podczas pierwszej bytności Pana zaczął się tutaj rozwijać, choć jeszcze nieznacznie, duch czasu. Zwrócono uwagę na zakorzenione braki i starano się zapro-wadzić stosowne ulepszenia, starano się miasteczko rozszerzyć, zaczęto budować i upiększać.

Korzystne położenie tej miejscowości zwabiło dwa przemysłowe przedsiębiostwa, które, wyszedłszy ze stolicy, nad brzegami rzeki się osiedliły. Przybyli więc dyrektorzy z urzędnikami i majstrami, nie mówiąc o robotnikach, którzy z różnych stron napłynęli i częścią tutaj zamieszkali. To sprowadziło więc różnych przedsiębiorczych kupców i rzemieślników — jednem słowem: nasz R..., przedtem nieznany i cichy, rozwinął się dość znacznie, jak to Pan już zapewne spostrzegłeś! Że się wobec tego wkrótce też lekarz i aptekarz znaleźli, to Pan zrozumiesz. Tego ostatniego powitałem z radością, gdyż apteczka domowa może tylko najniezbędniejsze rzeczy mieścić; rzadsze i droższe medykamenta trzeba było zawsze przez posłańca z pobliskiego miasteczka sprowadzać, byłem więc rad, że się tego kłopotu i trudu pozbył. Nie tak Trojan, który wszystkie swoje, zwykle bardzo proste lekarstwa sam przyrządzał i żądającym sprzedawał, gdyż utracił on przez to sporą część swych najważniejszych dochodów, bo każdy wolał pójść do okazałej apteki, niż do jego ciasnego, ponurego lab̨oratoryum, gdzie wyglądało jakby w kuchni czarownicy. Ponieważ je jednak po niskiej cenie oddawał, tyle mu odbiorców pozostało, że aptekarz miał powód skarżyć się na szkodę i uzyskał też u gminy zakaz na niedozwoloną sprzedaż lekarstw. Lecz że się Trojan o to nie troszczył, w wiecznej był zwadzie z farmaceutą, który wreszcie karnem doniesieniem zagroził.

Co się tyczy lekarza, to ten chciał najpierw zoryentować się, zachowywał się wyczekująco, starał się nawet stanąć na dobrej stopie z kolegą, którego zastał. Gdyby się więc tenże okazał był uprzedzającym, mógłby się był wytworzyć podział pracy, spowodowanej już zmianą stosunków, który byłby obu zadowolnił.

Trojan jednak wyjawił wobec Srpa całą swą wewnętrzną pychę.

Nie dość na tem, że przy spotkaniu się z nim okazywał odpychającą szorstkość, wziął on jeszcze i lekarską działalność „intruza“ — jak go nazywał — pod bezwzględną krytykę, utrzymując, że ten protomedyk tyle rozumie co nic, i że go wkrótce ze wstydem napędzą.

Takie uwagi doszły naturalnie uszu Srpa i choć Srp — między nami mówiąc — w rzeczy samej nie wiele więcej wiadomości posiadał, ile przy powierzchownych i miernie odbytych studyach nabyć można, miał on przecie swój dyplom w kieszeni i musiał się czuć śmiertelnie dotkniętym. A że z natury nie był zbyt dobroduszny, postanowił się zemścić, czekając już tylko na sposobność, któraby mu umożliwiła wystąpić ze swoją, tymczasem jeszcze tajoną nienawiścią. Sposobność ta nadarzyła się też w czasie niedługim. Dziecię, które Trojan na zapalenie gardła leczył, umarło przez noc. Srp, który sprawował także urząd lekarza obwodowego, oglądnął zwłoki i znalazł, że dziecko umarło na dyfteryę. Choroby więc nie poznano, doniesienia nie zrobiono, temsamem więc sprowadzono niebezpieczeństwo szerzenia się tej zarazy, która dotychczas gminę dość poszanowała.

I już raz w toku zasiadł ten człowiek i napisał bezwzględne i wyczerpujące sprawozdanie do swej władzy, w którem szczególnie podniósł, że Trojan wykonuje zawód lekarski, nie mając potrzebnych studyów. Zdarzyło się na ten czas, że nowy starosta stanął na czele spraw. Uważał więc za obowiązek zabrać się pod każdym względem radykalnie do dzieła. Okazał wielkie oburzenie i oddał natychmiast akt sądowi. Trojan został więc zawezwany.

Bezstronny sędzia jednak, znający długoletnią działalność oskarżonego, wydał wyrok uwalniający, tem bardziej, że właściwej winy nie można było więcej dowieść. Lecz zarazem ostro Trojanowi polecił nie wykonywać raz na zawsze lekarskiego zawodu, jeśli nie chce podpaść całej surowości prawa, to znaczy karom za fuszerkę.

Nie posiadając się ze wzruszenia wrócił Trojan i udał się bezzwłocznie do pana Wanke, zaklinając go, by z wysiłkiem całej swej powagi zrobił dla niego rekurs.

Pan Wanke nie mógł się naturalnie na to bezmyślne żądanie zgodzić, lecz owszem powiedział:

— Kochany przyjacielu! Przewidywałem niestety to, co Pana teraz spotkało. Wiedziałem, że się tak stanie, gdy lekarz przybędzie. Pogódź się Pan z losem, którego nie można żadnym sposobem odmienić, a któryś Pan sobie — jak Pan sam przyznasz — w młodości zgotował. Bądź Pan więc rozsądnym i weź się Pan do innego zawodu. Będzie to dla Pana z początku trudnem, lecz jeszcze nie jest zapóźno.

— Do innego zawodu! — roześmiał się Trojan szyderczo. — A do jakiego, jeśli wolno zapytać?

— Oto — odrzekł Wanke — mam pewien wpływ u hrabiostwa, możnaby

Panu wyrobić miejsce w jakiejś kancelaryi przy jednej z fabryk, lub hut.

— Miejsce w kancelaryi!? — krzyknął Trojan. — O, dziękuję! Na pisarza nie jestem stworzony. Będę dalej wykonywał swój zawód, jako powołany — wszystkim sądom na złość — a jeżeli być musi, to umrę zań, jak męczennik!

Z temi słowy zerwał się i wybiegł, pozostawiając swego dobrodzieja, który poznał, że biedakowi nikt nie pomoże, w nader przykrem zakłopotaniu. I leczył w rzeczy samej dalej, choć się chorzy czem raz rzadziej do niego po pomoc udawali, gdyż zajście to narobiło — rozumie się — wiele hałasu. Przyszło do żywych dyskusyi, wreszcie przechyliła się szala na korzyść Srpa, który był przecie rzeczywistym doktorem i należał prócz tego do skrajnej czeskiej partyi, która w gminie uzyskała pierwszeństwo.

Z niej też wyszedł nowy burmistrz, który tem mniej za fuszerem się ujął, że tenże był właściwie Niemcem, mimo, że się zawsze neutralnie zachowywał.

Tak schodził Trojan powoli z powagi a także i z uwagi u swych współobywateli, przez co popadł w biedę, dla niego tem dotkliwszą, że się miał teraz niejako starać o wyżywienie rodziny. Zakochał się bowiem namiętnie w pewnej biednej zarobnicy, która przez niegodziwego męża opuszczona, ze synkiem swym na Horzicu mieszkała. Była ona ciężko chorą, a Trojan ją leczył. Biedaczka wyzdrowiała, lecz pozostało osłabienie, które tylko spokojem i należytem żywieniem się można było usunąć. Trojan troszczył się o nią i o chłopca jak mógł, i pewnieby się był z nią ożenił, gdyby jej mąż, gdzieś na obczyźnie się obracający, nie był jeszcze przy życiu, lecz wszedł z nią w bliższe stosunki, i ci już nieliczni jego znajomi nie mogli się dość wydziwić tej bezmiernej namiętności, jaka go opanowała.

Tej okoliczności należało też przypisać, że wobec swych chorych nie był tak troskliwym jak dawniej. Zdawał się bardzo roztargnionym i zapominał często o najgłówniejszych rzeczach. Było więc zupełnie naturalnem, że się wszyscy prawie wyłącznie do Srpa wrócili, który mając teraz dość dówodów w rękach, zrobił natychmiast zawistne doniesienie.

(Dokończenie nastąpi).

Z literatury.

„Słownik gwar polskich“, Jana Karłowicza. Poza językiem piśmiennictwa polskiego, który w zasadzie jest jeden w formach swoich dla wszystkich punktów kraju, istnieje mowa żywa ludu, z której tamten wyrasta, jako z gleby swojej, hodowany umiejętnie.

Z mową tą, jak z ziemią: co krok ma swe osobliwości i odmiany, choć jedna i wspólna Tem mnóstwem gwar polskich, dotąd nie zestawionych i nie opracowanych, a stanowiących niezmiernie bogaty materyał do dyalektologii, zawładnął pierwszy Jan Karłowicz, uczony językoznawca i folklorysta.

Zbierano dotąd z niezbyt jednostajną metodą i nie zawsze umiejętnie materyał gwarowy. Było go dużo w zbiorach etnograficznych zwłaszcza Kolberga, a najwięcej w wydawnictwach specyalnych, jak: „Zbiór wiadomości go antropologii krajowej“, „Prace filologiczne“, zwłaszcza *Wisła* i na ostatku *Lud* (lwowski). Zresztą gdzie go nie było? By go zebrać w całość, należało odwiać z całego piśmiennictwa wyrazy gwarowe.

Dokonał tego pracą 30-letnią Karłowicz w ciszy gabinetu i teraz niespodzianie dla ogółu, bez rozgłosu, plon pracy swojej w postaci słownika, tom po tomie wydaje, jednocześnie ze swoim „Słownikiem wyrazów obcych“ i z ogólnym „Słownikiem języka polskiego“, którego jest współredaktorem.

„Słownika gwar polskich“ Jana Karłowicza wyszły dotąd dwa tomy, zawierające wyrazy od A do K włącznie. (Tom I, str. VI, 454 i IV; tom II, str. 552 w dwóch szpaltach). Dzieło to wydaje krakowska Akademia umiejętności.

„Słownikowi gwar polskich“ należy się ocena szczegółowa i naukowa; zaznaczyć tu wszakże należy jego znaczenie dla nauki. Zyskują na nim badania etnograficzne, bo Słownik wskazuje przy każdym wyrazie jego upowszechnienie terytoryalne; językoznawstwo zyskuje bogaty materyał do badania psychologii języka; wyświetla on mnóstwo wyrazów niezrozumiałych dla językoznawców i wiele zagadnień gramatycznych. A jakież to nieoszacowane źródło bogactwa językowego dla ludzi, piszących wyschłą mową literacką.

Przekłady z języka polskiego. W gazetach niemieckich coraz częściej zaczynają się pojawiać przekłady z polskiego na niemiecki. Między innemi pojawiło się w pismach berlińskich („*Morgen*, „*Welt am Montag*“, „*Kleines Journal*“) kilka tłumaczeń szkiców Tetmajera, p. Stefanii Goldenring, utalentowanej tłumaczki berlińskiej!

P. G. posiada rzadki niezmiernie u tłumaczów dar oddawania w całej świeżości, prostocie i czarze piękna i oryginalności przekładanych utworów.

Wymownym, a nawet jaskrawym, dowodem tego są jej tłumaczenia szkiców Żeromskiego (którego ona wogóle pierwsza na język niemiecki tłumaczyła), Niedźwiedzkiego, Niemojowskiego, Daniłowskiego, Sieroszewskiego, Świętochowskiego, Sienkiewicza (w *Jugend*), Prusa, Orzeszkowej („Jędza“ przed kilku dniami w *Freisinnige Zeitung*) i wreszcie wspomnianych poprzednio drobiazgów Kazimierza Tetmajera. (Miłość, Róża, Cień, Wspomnienie, Jodła, Sąd, Żórawie, Laureat, Skalny motyl, Do kobiety).

Czy nie wie kto z państwa o p. Edwardzie Kociubie?

Szukam go od lat piętnastu; urzędnicy w biurze adresowem po kilkadziesiąt razy przerzucili na moją prośbę wszystkie kartki stałych i niestałych mieszkańców Lwowa.

Robiłem kwerendy we wszystkich miastach znanych mi z widzenia, lub słyszenia, wertowałem księgi cmentarne, sądząc, że p. Edward Kociuba już zmarł.

Pomimo to wszystko, człowiek ten nie przestaje być dla mnie mytem, powiem więcej: nie przestaje dręczyć mnie, odbierać snu, apetytu, dobrego humoru. Co najgorsza, Kociuba tortoruje mnie za pośrednictwem mojej żony i nieustannie mąci naszą harmonię małżeńską.

Jego imię i nazwisko. stało się dla mnie nienawistnem; na sam dźwięk tych dwóch wyrazów drżę, lub przenika mnie gniew, tem zapalczywszy, że wewnątrz tajony.

Pozawczoraj kucharka przyniosła o pół funta mięsa zamało.

Inna żona powiedziałaby w podobnym wypadku:

— Ewko, bierzesz „koszykowe“ i z tego powodu oddalam cię na pierwszego.

Moja małżonka, wpadła natomiast zirytowana do mojego pokoju i mnąc chusteczkę, zawołała:

— Gdybym była wyszła za Edwarda, nie spotykałoby mnie nic podobnego.

Poczem, jak zwykle i przy każdej sposobności, dodała:

— Był to człowiek młody, przystojny i ze stanowiskiem. Klękał przedemną i drogę mi odmuchiwał z pyłu. Jestem przekonana, że kochał mnie gorąco.. byłabym za nim szczęśliwa... Och czemużeś nam wszedł w drogę, czemu zdeptałeś nasze szczęście?...

Powtarza się to, powiadam, co najmniej trzy razy na tydzień przy byle sposobności.

Spóźnię się na obiad o pół godziny, Jania nosek sobie rozbije z winy niedołęstwa niańki, żona zgubiła klucz od kredensu, w teatrze podczas naszej bytności dano nudną sztukę, teściowa przyniosła z miasta plotki na mój rachunek, rączka od parasolki odłamana, cukier zdrożał o pół ct. na funcie... Moja żona wzdycha a nawet łzy roni, powtarzając nieodmiennie:

— Edward Kociuba nigdyby mi nie wyrządził podobnej przykrości, lub:

— Edward był człowiekiem z sercem; błagał mnie o rękę, odmówiłam. Ha, odmówiłam mu i cierpię zasłużenie!

Niekiedy sprowadza to na mnie szał, tupię więc nogami i gwałtownie domagam się okazania fotografii, lub jakiegokolwiek innego dowodu istnienia tego człowieka.

Żona udaje, że nie słyszy wypowiadanych żądań, teściowa wręcz mi odmawia, sługa panieńska żony rumieni się, zacina i milczy.

Wczoraj wieczorem żona mówiła niby do siebie:

— Edward Kociuba byłby mnie wziął do cyrku na przedstawienie sportowe..

Gdzież jest ten człowiek, zapytuję czytelników, co się z nim stało i czemu odebrano mi możność spojrzenia mu w oczy?

Czy rzeczywiście nikt nie dopomoże mi do odnalezienia Kociuby, którego szczęście zdeptać miałem nieszczęście?

Bańki mydlane.

„Szurdut“ czarny, żółte buty, w rękawiczkach, mina drużby... Tak się nosi pan Franciszek, co ma kantor stręczeń służby. Kłopotliwy to proceder! Można nieraz stracić głowę... Koszta wielkie, a w „proficie“ głupie jakieś tam „wpisowe“!

Koszta wielkie, kram nie lada,
A kawałek chleba czarny...
A co trzeba napsuć gęby,
Nim zarobisz ten grosz marny!

Inny człowiek, mniej cierpliwy, gdyby tu posiedział dobę, byłby dawno się rozchorzał ze zgryzoty na wątrobę.

I Franciszek nieraz myślał w ciężkich chwilach plunąć na to..

Ale nie mógł! Interesu nie zamyka się ze stratą!

Zresztą już się wezwyczaił
W ono życie nienajsłodsze,
Chociaż teraz coraz trudniej
O kucharki i o „młodsze“.

Przytem państwo „wymagalni“.. a najgorzej same panie! Każda pyta o „moralność“ i o „męskie“ prasowanie. Taby chciała mieć kucharkę, a do miasta sama chodzi.. tej — uroda na zawadzie, innej — byle strażak szkodzi!

Czasem pani chce, pan nie chce...
(Siła złego na jednego)
Za psi pieniądz każdy chciałby
Mieć służącą do „wszystkiego“!

Ciągłe kramy, „odprowadzki“... „fanaberyi“ co nie miara! Ta się „włóczy“, ta „pyskata“, ta za młoda, ta za stara!

Jak ci zaczną głowę suszyć, to ci zbrzydnie żywot, praca!

Całe szczęście, że „wpisowe“, raz pobrane, się nie wraca! Czy kto kontent, czy niekontent, nie pomogą reklamacye...

Pan Franciszek wziął „wpisowe“
I to starczy mu za racyę!

El.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 24—52

Kantor wymiany

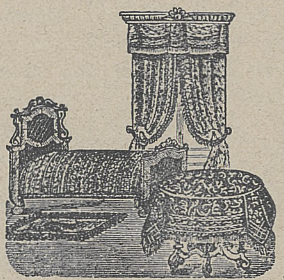
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żadanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.

(pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych. 28—44

H. HUTTER i W. KANNER

Pierwszorzędny skład papieru, przyborów do pisania i rysowania

(en gros & en detail)

„pod złotem piórem“

w Przemyślu

plac na Bramie l. 6.

Największy wybór w kartach widokowych i artystycznych.

12—12

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2
32—52

KANTOR WYMIANY

BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. l. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 23—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudn em i od 3—4½ popołudniu.

TUTKI

La Coronne, Dreyfus i Cartouche z prawdziwej bibulki francuskiej z watą

polecają

BRACIA PARNASS

Fabryka tutek i cygarniczek oraz wyrób cygarniczek

w BRODACH. 11—12

Pierwsze składy

obuwia karlsbadzkiego

Adolfa Lonkera

ulica Hetmańska l. 16. (Bank zaliczkowy)

LWÓW

ulica Karola Ludwika l. 21. (Hotel Bristol)

Obuwie tylko ręcznej roboty dla pań, panów i dzieci. — Najnowsze oraz najgustowniejsze fasony i olbrzymie zapasy. Najwykwintniejsze wykończenie i staranna trwała robota. Ceny najniższe, fabryczne, wyciśnięte wraz z marką ochronną na podeszwie każdej pary. 2—6

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

33—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 34—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo przeniesiony magazyn
na plac Maryacki l. 10.
dawniej
Jakubowski & Jarra

obecnie

M. JAKUBOWSKI

poleca
swe wyroby ze srebra chińskiego i przybory kościelne. 6—12

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.